Zaczarowane Święta



Świątecznie udekorowany kominek ze zdjęciami rodzinnymi w naszym domu w Austin w Teksasie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Dla mojego Taty, największego naszego Przyjaciela, bez którego

żadne Święta nie będą już takie same.

Każdy z nas nosi w sobie taką Wigilię, o której nie zapomni do końca życia. Każdy z nas pamięta zapach choinki, aromat zupy grzybowej, wyjątkowy smak karpia, te cudowne kolędy, które zawsze wzruszają, kolory bombek, lampek, skrzypiący śnieg pod nogami, ośnieżone dachy domów za oknem, wypatrywanie pierwszej gwiazdki, emocje prezentów, a przede wszystkim miłość najbliższych, którą sobie w tym dniu wyjątkowo uświadamiamy. Ten magiczny wieczór nadaje sens wszystkiemu co robimy, wszystko od niego jakby zaczyna się od nowa. Warto poświęcić czas i pracę, aby każda Wigilia była wyjątkowa, obojętnie pod jaką szerokością geograficzną się znajdujemy, bo Święta Bożego Narodzenia to jeden z najpiękniejszych okresów w roku. Tradycje świąteczne wyniesione z domu rodzinnego są wspominane przecież przez całe życie.

Gdy mieszkałam w Polsce, nigdy nie pomyślałam, że mogłabym kiedykolwiek zasiąść za stołem wigilijnym bez rodziców, brata, babuni i wszystkich najbliższych. Gwiazdki, które pamiętam z domu, były najpiękniejszymi dniami w roku. Niepowtarzalna atmosfera niesamowitości i miłości, którą sobie w tym dniu zawsze uświadamiałam, była czymś wyjątkowym. Przy skromnym życiu w Polsce, w małym mieszkaniu w blokach, nawet prezenty miały inny wymiar. Zawsze przy choince usadzałam moje lalki – Gabrysię i Klaudynkę, które też dostawały swoje paczuszki –

najczęściej ubranka, pracowicie szyte przez mamę w nocy, żebym nie zauważyła. Dostawały pelerynki pikowane, szyte z folii i flanelki, kapelusze z rafii robione na szydełku, szaliki i bereciki z pomponem, kolorowe robione na drutach, czy haftowane maleńkie kapciuszki. Ile to było radości. I gdzie tym ubrankom dla lalek, jak z żurnala, do współczesnych strojów cukierkowej lalki Barbie.

Moje lalki miały swoje mieszkanie, przerobione ze starej szafki. Tata – inżynier elektryk, doprowadził elektryczność i miałam tam prawdziwe, działające miniaturowe lampy z kolorowymi abażurami, szytymi przez mamę. Mama uszyła także firanki i wyhaftowała dywan i wyrzeźbiła figurkę na ścianę. Były też miniaturowe mebelki, prawdziwa kanapa na zawiasach, stół i krzesła, robione po wojnie dla mojej mamy na gwiazdkę, przez jej ciotecznego brata. Śliczne. Gdy zbliżały się Święta, i ja ulegałam atmosferze przygotowań, pastowałam pracowicie podłogę w moim domku dla lalek, trzepałam dywan, piekłam z mamą malusieńkie ciasta. Ile było w tym uroku. Ile rodzice poświęcali czasu, żeby nasze święta były bajkowe i niepowtarzalne, mimo, że półki świeciły pustkami i pieniędzy było mało. I za nic bym ich nie zamieniła, na te bogate, przeładowane słodyczą, ozdobami, wielkimi kokardami, ale… pustymi w środku.

Na Mikołajki – 6 grudnia, pisaliśmy z bratem listy, które wkładaliśmy w buty. Mama przetrzymuje je do dziś na pamiątkę.

Mój brat zawsze wyliczał masę różnych zabawek, a na wszelki wypadek, gdyby o czymś zapomniał; dopisywał – *i jeszcze co sam sobie życzysz, Kochany Mikołaju*. Ja pisałam zawsze długi wstęp – *Kochany Mikołaju, wiem, że masz dużo dzieci i że możesz wszystkim nie zdążyć dać prezentów, więc ja mogę zrezygnować. No, ewentualnie, jeśli o czymś marzę, to o czymś małym, np, o wierszach Jesienina*. Mama się potem śmiała, że więcej kłopotu miała, żeby znaleźć te wiersze, niż ze wszystkimi „zamówieniami" mojego brata.

Martwiliśmy się z bratem, że jak nie będzie śniegu, to Mikołaj do nas nie przyjedzie, bo sanie do nas nie dojadą. Tata nas wtedy pocieszał, że jak nie będzie śniegu Mikołaj – przyleci helikopterem, że idzie z postępem i jest nowoczesny. Gdy wyszła już pierwsza gwiazdka na niebie, skupieni czekaliśmy z bratem w pokoju na jakąś oznakę Mikołaja, zawsze się spieszył, nie mogliśmy go zobaczyć, lądował na balkonie – słyszeliśmy warkot, przyklejeni do dziurki od klucza, potem głos, szum, trzask… a potem rozlegał się dźwięk kolędy – „Bóg się rodzi". To był znak, że możemy wyjść z pokoju, zobaczyć zawsze najpiękniejszą choinkę na świecie i zasiąść do kolacji.

Prezenty były dla nas ważne, ale nie najważniejsze. Ja zawsze chciałam posiedzieć jak najdłużej przy stole, tak było dobrze i wzniośle. Ale prezenty były często też zaskakujące. Nie wiem, jak to rodzice robili, że w małym, dwupokojowym mieszkaniu w

blokach dostawaliśmy takie prezenty – niespodzianki, jak np. mój brat – rower kolarski, a ja pianino. Bardzo marzyłam, żeby grać na pianinie. Zaczęłam uczyć się gry późno, bo w 7 klasie szkoły podstawowej. Ponieważ nie miałam pianina, żeby ćwiczyć w domu, wstawałam o 5-6 rano i szłam ćwiczyć do szkoły. Nikt mnie w domu nie musiał budzić, sama cichutko się ubierałam, a woźne mnie wpuszczały. Jaka więc była moja radość, gdy dostałam pod choinkę starodawne pianino, takie o jakim marzyłam, XIX wiecznego Petroffa z lichtarzami, zapakowane i z wielką kokardą. Nie mogłam uwierzyć i oderwać się od klawiszy. A jak było ukryte w tym dwupokojowym mieszkaniu na czwartym piętrze w blokach, tego nie wiem do tej pory.

Później, gdy przeprowadziliśmy się z rodzicami do segmentu z ogródkiem, ubierało się choinki też przed domem, a spacery po osiedlu, ze skrzypiącym śniegiem, stały się dodatkowym malowniczym obrazkiem. Pamiętam taką Wigilię, gdy już nie mieszkałam z rodzicami. Współpracowałam wówczas z łódzką telewizją i na początku grudnia brałam udział w programie, który miał być emitowany w samą Wigilię. Przy pięknie udekorowanym stole wigilijnym zasiadły osoby ze świata kultury, aby porozmawiać o książkach pod choinkę. Ja mówiłam o zbiorze baśni pt. „Diamentowe Góry”, które moja mama dostała pod choinkę podczas wojny. Moja mama urodziła się w samą wojnę, a te baśnie były jej jedynym promykiem w dzieciństwie, gdy wiele czasu spędzała w piwnicy, podczas nalotów. Potem ja te baśnie

dostałam od mamy. Gdy przyszła Wigilia, jakie ja i mój brat, który mi pomagał, robiliśmy zabiegi, żeby o godzinie emisji włączyć telewizor. Ile było zdziwienia, że chcemy oglądać telewizję, zamiast skupić się na kolacji. Ale potem… nie zapomnę łez wzruszenia mojej mamy, gdy zobaczyła, jak z ekranu mówię do niej i o niej.

Pierwszy raz Święta bez rodziców obchodziłam, gdy byłam w 1998 roku w Kalifornii. Nie były to święta typowe, bo przy choince w gaju pomarańczowym i przy śpiewie kolibrów. Przy stole zasiadły sławne osoby, znane telewizyjne twarze, a ja dostałam w prezencie futro z norek, z wyhaftowanym moim imieniem i nazwiskiem. Tylko, że ja wolałabym nic nie dostać i być z rodziną, w puszystym, śnieżnym bajkowym wigilijnym świecie, wypełnionym miłością i domową atmosferą.

Gdy przyjechałam do Kanady za wszelką cenę nie chciałam się poddać wszechobecnej komercji i obowiązkowi dawania prezentów – dużo i drogich. Prezent jest wyrazem naszych uczuć, dajemy bliskim to, o czym oni marzą, spełniamy ich marzenia, nawet jeśli to nas kosztuje dużo wysiłku. Święta z moim mężem Jackiem, choć daleko od Polski, w zupełnie innym otoczeniu, są dalej najpiękniejszymi dniami w roku, wypełnionymi emocjami, zapachem zupy grzybowej, choinki i różnych pyszności. Pamiętam, kiedyś robiłam zakupy w polskim sklepie na Roncesvalles, potem stanęłam na przystanku. Podeszła do mnie

pani, która też robiła zakupy. Ja obładowana siatkami, pani z jedną torebką. – *A bo tutejsze święta, to nie święta, to nie to, co u rodziców w Krakowie, tam to była atmosfera, a tu co, sami z mężem i dzieckiem jesteśmy, to się nie opłaca wyprawiać żadnych świąt.* Uderzyło mnie to bardzo. Z mężem i dzieckiem, to znaczy z rodziną. I się nie opłaca?

W naszym domu koło Nowego Jorku, gdzie zamieszkaliśmy po wyprowadzce z Toronto, już tydzień przed Świętami czuć było podniosłą atmosferę. Upieczone staropolskie ciasteczka migdałowe i rumowo czekoladowe, rogaliczki drożdżowe według przepisu Heleny Modrzejewskiej, z nadzieniem różanym, kulebiak staropolski, drożdżowy z kapustą i grzybami, klops nadziewany prawdziwkami z sosem grzybowym, pstrąg na niebiesko, karp w szarym sosie… i inne pyszności.

Choinkę ubieramy zawsze w Wigilię, bo wtedy niepowtarzalnie pachnie i miesza się z zapachem zupy grzybowej, jedynej w swoim rodzaju. Zapalamy w kominku, włączymy kolędy. Są też prezenty – niespodzianki. Kiedyś znalazłam na Internecie przedwojenną etykietę na miód pitny z napisem „Brawinus. Miodosytnia i rozlewnia win". Etykietę wydrukowałam i oprawiłam. Firma Brawinus należała do dziadka Jacka, który utonął w rzece na początku wojny, gdy rzucił się by uratować dziecko, jak się później okazało, dziecko ss-mana. Jacek nie miał po nim żadnych pamiątek.

Innym razem przed Wigilią dostaliśmy prezentowe SOS z Polski. Synek mojego brata miał dostać od moich rodziców na gwiazdkę naturalnej wielkości tygrysa. Tata wymyślił, że gdy będzie tę wielką pakę odpakowywał, gdzieś zza choinki, ma się pojawić ryk tygrysa. No i przy śniadaniu szukaliśmy zamówionego „ryku tygrysa". Znaleźliśmy i przesłaliśmy w postaci mp3. Dobrze, że jest Internet, skype, kamery, bo stały kontakt jest możliwy.

W 2013 roku przeprowadziliśmy się do Teksasu. Mimo ciepłego klimatu, który nie sprzyja nastrojowi Bożego Narodzenia, mamy w domu tę samą atmosferę przy kolorowej choince i iskrzącym kominku, królują te same polskie zapachy lasów, pól i łąk. Mamy przyjaciół, którzy doceniają świąteczne potrawy podane na porcelanie *Modjeska* sprzed ponad stu lat. Byłam wzruszona, jak zobaczyłam, że zapach kaczki z jabłkami i smak świątecznego ciasta z makiem, wywołał w ich oczach łzy. Wspomnienia polskich Świąt w rodzinnym domu sprzed wielu lat, gdy się mieszka bardzo długo na emigracji, są bezcenne.

Dwa lata temu na Święta byłam w Polsce. Opiekowałam się chorym tatą. Czuliśmy, że może przyjść najgorsze, ale nikt z nas nie chciał się do tego przyznać. Szykowaliśmy z tatą Święta, jakby nic się nie miało zdarzyć. Kupiliśmy najpiękniejszą choinkę, jaka kiedykolwiek była w domu. Ubrana starymi bombkami, lśniła, mieniła się wszystkimi kolorami tęczy, pachniała i wyglądała czarodziejsko. Koty najpierw z uwagą się przyglądały,

a potem próbowały zaprosić choinkę do zabawy, łapały ją za dolne gałązki i trącały nosami bombki.

Pojechaliśmy też po karpie na prywatną farmę. Zgodnie z tradycją rodzinną, kupowany jest zawsze jeden karp więcej. Wypuszczanie karpia na wolność do jeziora to cały rytuał, który jest co roku skrupulatnie powtarzany.

W tym roku znów jestem w Polsce. Tuż przed Wigilią moja mama ma operację. Nie wiem, jak się będzie czuła, możliwe, że Święta spędzę z nią w szpitalu. Jacek będzie u przyjaciół w Teksasie, z prezentami i życzeniami ode mnie wysłanymi w paczce. No cóż, takie Święta też bywają. Jednak zawsze trzeba pamiętać, że Święta, to barometr bliskości i uczuć. Jak jest dobrze w domu na co dzień, to i Święta, nawet, gdy ma się trudny czas, gdy jest się daleko od siebie, też mogą być zaczarowane.

Wesołych Świąt !!!



Zaczarowane Święta w naszym domu w Teksasie, fot. Jacek Gwizdka..